

**RYSZARD TOMICKI**

(Instytut Archeologii i Etnologii PAN, Warszawa)

### **Indianie w Warszawie – 1884 r.**

Odkrywanie i poznawanie Nowego Świata przez mieszkańców Europy przybierało rozmaite formy. Jedną z nich był kontakt z przywożonymi z oceanu ludźmi. Już w końcu XV, ale zwłaszcza w XVI wieku nie brakowało ku temu okazji. Zabieranie do Europy przedstawicieli nowo odkrytych ludów stanowiło praktykę powszechną. Najwcześniej możliwość oglądania Indian mieli mieszkańcy Lizbony oraz dwór portugalski, gdy w marcu 1493 r. u ujścia Tagu zakotwiczyły statki Kolumba wracające do Hiszpanii. Nieco później przysła kolej na mieszkańców Sewilli i Barcelony, gdzie egzotycznych przybyszów zaprezentowano królowi Ferdynandowi i królowej Izabeli. Niebawem Hiszpania zapewniła sobie bezsporny prymat, jeśli chodzi o częstotliwość kontaktów z Indianami. Ale w 1502 r., w konsekwencji wyprawy Sebastiana Cabota, znaleźli się oni także w Anglii, a w 1506 r. we Francji za sprawą Tomasza Auberta. W 1528 lub na początku 1529 r. jeden z Indian przybyłych do Hiszpanii z Hernanem Cortesem odbył podróż do Rzymu, aby mógł go zobaczyć papież Klemens VII. Mniej więcej w tym samym czasie kanclerz Krzysztof Szydłowiecki zabiegał o przysłanie mu jakiegoś Indianina u Jana Dantyszka, polskiego ambasadora przy dworze Karola V.

We wczesnym okresie ekspansji w Ameryce pojawiający się w Europie mieszkańcy nowej, nieznaney dotąd części świata stanowili bez wątpienia dużą atrakcję. Ich odmienność przyciągała uwagę zarówno ówczesnych elit intelektualnych, jak i gawiedzi. Nie oznaczało to jednak akceptacji nowych postaci odmienności jako trwałego składnika własnego, rozszerzającego swe granice świata. Pierwsi Indianie, jakich Cortes wysłał w 1519 r. z Meksyku do Hiszpanii, najpierw prezentowani byli w całej okazałości właściwych sobie ubiorów, fryzur i ozdób, po czym na polecenie króla przyodziano ich

i uczesano na modłę kastylijską. Podobnie postępowano w wielu innych przypadkach – i wcześniej, i później.

Niemniej stosunkowo prędko dokonano w Europie demarkacji sfery, w której odmienność Indian była nie tylko w pełni akceptowana, lecz nawet pożądana. Dla pierwocin tego zjawiska znamieną wydaje się wizyta Cortesa w Hiszpanii w 1528 r., kiedy to przywiózł on ze sobą liczną grupę Indian po części złożoną z przedstawicieli arystokracji jeszcze niedawno władającej Meksykiem, po części zaś z żonglerów, kłownów, muzyków, graczy w piłkę, karłów i albinosów. Mimo wyraźnego zróżnicowania statusu społecznego członków grupy, z punktu widzenia szerszej publiczności granica między polityczną reprezentacją nowych poddanych Karola V a „cyrkowcami” zapewne nie rysowała się zbyt ostro. Jeżeli nawet indiańska arystokracja nie była angażowana do pokazów na równi z pozostałymi członkami grupy, co bynajmniej nie jest pewne, widzów intrygowała przede wszystkim osobliwość całej grupy. Można to łatwo zauważyć przeglądając wykonane wtedy rysunki niemieckiego artysty Christopha Weiditza, na których, obok paru wizerunków Indian żonglujących kłodami za pomocą nóg i odbijających piłkę biodrami, utrwalona została cała seria postaci prezentujących tylko i wyłącznie swój wygląd, rozmaitość ubiorów, fryzur, ozdób oraz całkowicie przypadkowe (może z wyjątkiem pojawiającej się w jednym przypadku papugi) rekwizyty.

Trudno powiedzieć, gdzie i kiedy przywiezionych Indian po raz pierwszy nie starano się „po ludzku” ubrać, obuć i uczesać, aby mogli funkcjonować jako atrakcyjna osobliwość w ludycznej sferze kultury europejskiej. Z całą pewnością wszakże w tej właśnie roli wystąpili Indianie z Brazylii w 1550 r. w Rouen przed królem i królową Francji, prezentując – wspólnie z przebranymi za Indian marynarzami – żywe obrazy z własnego życia. W 1554 r. użyto ich ponownie w pokazie zorganizowanym w Troyes z okazji przybycia tam Karola IX. W 1565 r. podczas festynu w Bordeaux poza murami miasta urządzono – w zainscenizowanym brazylijskim pejzażu – indiańską wioskę, w której publiczność oglądać mogła kilkuset egzotycznych mieszkańców, w części świeżo przywiezionych z Ameryki Południowej.

Tego rodzaju pokazy i widowiska, obejmujące z czasem przedstawicieli coraz większej liczby „odkrywanych” ludów, zadomowiły się na dobre w obyczajowości Europy i dotrwały aż do XX wieku. Szczególną popularność, a poniekąd także nowy wymiar zyskały w XIX stuleciu. W epoce znacznie ułatwionej komunikacji mogły one docierać do szerszej publiczności niż kiedykolwiek wcześniej, zwłaszcza że ich organizacją zajęli się ludzie interesu. Doczekały się przy tym swoistej nobilitacji na fali ożywionego (i modnego) zainteresowania szeroko rozumianą problematyką antropologiczną, stając się – przynajmniej w odczuciu pewnej części mieszkańców Europy – źródłem wiedzy, a nawet substytutem niemożliwych do zrealizowania podróży naukowych.

W drugiej połowie XIX wieku wędrowne „cyrki etnograficzne” sporadycznie docierały na obszar podzielonej Polski. W grudniu 1883 r. Franciszek

Sulimierski, dziennikarz „Wszecłwiata”, warszawskiego dwutygodnika specjalizującego się w popularyzacji wiedzy, publicznie ubolewał nad faktem, iż w czasach, gdy „pierwszorządne stolice europejskie” raz po raz goszczą „przedstawiciele upośledzonych szczepów”, Warszawa miała ku temu tylko jedną okazję. Parę lat wcześniej odwiedziła ją mianowicie rodzina Samojedów, która koczując w namiocie rozbitym w Dolinie Szwajcarskiej „przez kilka tygodni zabawiła publiczność swemi reniferami i spożywaniem surowego mięsa”. Choć podobne przedsięwzięcia budziły pewne opory moralne, dziennikarz nie miał raczej wątpliwości, że wynikają z nich również niebagatelne korzyści: „Zwyczaj obwożenia po większych miastach Europy przedstawiciele niektórych napół dzikich plemion ludzkich, jakkolwiek wywołany przez prostą spekulacją kupiecką chciwych nowości przedsiębiorców wędrownych, a nawet rządzący nasze poczucie moralnej solidarności ludzkiej, ma też i dobre swoje strony. Zbliżając do oświecenijszej braci tych paryjasów ludzkiego rodu, rozszerza pośród ogółu nietylko wiedzę, ale potęguje zarazem uczucie braterstwa” („Wszecłwiat” 1883, 2, s. 769).

Bez względu na to, w jakiej mierze poglądy F. Sulimierskiego mogły być reprezentatywne chociażby dla 900 prenumeratorów „Wszecłwiata” (w końcu 1883 r.), nie mówiąc o większych odłamach polskiego społeczeństwa, samo jego pragnienie częstszego goszczenia w Warszawie egzotycznych przybyszów, gdzie indziej przyciągających „powszechną uwagę etnografów i wogóle oświeconych kół europejskich”, na pewno nie było odosobnione. Dowiódł tego sukces, jaki w kilka miesięcy później – sprowadziwszy do Warszawy grupę północnoamerykańskich Indian – zapisał na swoje konto cyrk Cinisello (usytuowany w pierwszym, zbudowanym w latach 1882–1883 „stałym cyrku murowanym” przy ulicy Ordynackiej).

Była to dwudziestoosobowa grupa mężczyzn, kobiet i dzieci z plemienia Omaha, od XVII wieku mieszkającego nad rzeką Missouri w północno-wschodniej części dzisiejszego stanu Nebraska. Omahowie, których liczba sięgała 1200 osób w 1880 r., już w 1854 r. dokonali cesji niemal całości swych ziem na rzecz Stanów Zjednoczonych, zachowując jedynie niewielkie terytorium przeznaczone na rezerwat. W tym też okresie stali się obiektem nasilonych działań asymilacyjnych ze strony Biura do Spraw Indian oraz kościoła prezbiteriańskiego. W 1865 r. wykupiono od nich część rezerwatu i oddano ją Winnebagom. Niespełna dwadzieścia lat później, w roku 1882, Omahowie – w części silnie już akulturyzowani – zgodzili się na parcelację posiadanych ziem, uzyskując indywidualne działki i obietnicę otrzymania obywatelstwa. Z informacji, jakie posiadamy o przebywającej w Warszawie grupie wynika, iż jej cyrkowa kariera była bezpośrednio związana z tym właśnie krokiem ku cywilizacji, choćby ze względu na osobę niejakiego Johna Perchle, metysa, tłumacza rządowego podczas rokowań dotyczących parcelacji resztki ziem Omahów, a potem kierownika i tłumacza wędrującej po Europie trupy

(zgodnie z kontraktem zawartym z impresariem, Francuzem, po wylądowaniu w Hawrze i występach w Paryżu Indianie udali się do Berlina, skąd przez Warszawę zmierzali do Rosji).

Pojawienie się Omahów w Warszawie było wydarzeniem, które poruszyło całą chyba społeczność miasta – choć niekoniecznie wszystkich z tych samych powodów – i znalazło wyjątkowo duży oddźwięk na łamach prasy. Ten ostatni fakt daje dziś możliwość, także dość wyjątkową, bliższego przyjrzenia się sposobowi postrzegania niezwyklej cyrkowej trupy przez szerszą publiczność. Pisane na gorąco doniesienia, komentarze i artykuły wydają się w tym względzie źródłem reprezentatywnym. Ich obszerny wybór zamieszczony poniżej obejmuje wszystkie materiały, jakie ukazały się w „Kurierze Warszawskim”, „Kurierze Porannym”, „Kurierze Codziennym”, „Gazecie Warszawskiej”, „Gazecie Polskiej”, „Tygodniku Ilustrowanym”, a ponadto duży artykuł poświęcony dziejom Omahów zamieszczony w „Wędrowcu”.

Dla uzupełnienia obrazu należy jednak dodać kilka informacji. Co prawda z lektury zebranych materiałów jasno wynika, że Indianie wzbudzili ogromne zainteresowanie Warszawiaków, ale o jego skali, przerastającej wszelkie oczekiwania, najlepiej świadczą ogłoszenia zamieszczane przez dyrekcję cyrku w „Kurierze Warszawskim”, „Kurierze Porannym” i „Kurierze Codziennym”. Na ich podstawie można stwierdzić, iż pierwotnie planowano stosunkowo krótki pobyt Indian w Warszawie. Pierwszy występ dali oni bowiem w piątek 9 maja, a już w środę 14 maja anonsowano ostatnie przedstawienie z ich udziałem. Później „nieodwołalnie ostatni występ” miał się odbyć w piątek 16 maja. Następnego dnia ogłoszono jednak, że „Dyrekcja Cyrku przedłużyła engagement truppy Indjan jeszcze na Sobotę d. 17 i Niedzielę d. 18 maja r.b.” czyniąc zadość ogólnym żądaniom, m.in. mieszkańców okolic Warszawy, którzy przybyli do miasta „na czas wyścigów”. Tym razem termin okazał się rzeczywiście ostateczny. W poniedziałek po południu Indianie opuścili miasto udając się koleją w drogę do Moskwy.

Atmosferę otaczającą w tych dniach cyrk Cinisellego przybliżają dwie notatki opublikowane 15 i 17 maja w „Kurierze Warszawskim”. W pierwszej donoszono: „Cyrk od tygodnia bywa tak przepelnianym, iż na godzinę przed przedstawieniem nie można już dostać biletu”. W drugiej, opatrzonej refleksyjnym tytułem „Czy stosownie”, dziennikarz informował, że cyrk „siłą taranu obala powodzenie teatrów”, a bywanie na próbach i zainteresowanie zakulisowym życiem cyrku „należy do szyku i mody”.

Indianie stanowili wszelako dużą atrakcję nie tylko dla pospolitych mieszczuchów. Zainteresował się nimi także znany fotograf Konrad Brandel, sporządzając serię zdjęć, oraz Stanisław Witkiewicz, który po części na podstawie własnych rysunków, po części zaś na podstawie zdjęć Brandla wykonał ilustrację (patrz ryc. 1) opublikowaną w „Wędrowcu” (w nr 24 z 1884 r.). W jakiejś mierze Omahowie przyciągnęli ponadto uwagę warszawskiego środowiska naukowego. Stali się obiektem badań antropologicznych dr Leona Dudrewicza, lekarza pediatri, od 1874 r. zajmującego się intensywnie



Ryc. 1. Indianie w Warszawie

nie antropologią i archeologią, tłumacza studium H. Siebolda „O Ainosach wyspy Jesso” (ogłoszonego drukiem w 1882 r. w „Wędrowcu”), a od stycznia 1883 r. również członka Komisji Antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie. Wyniki jego badań nad Omahami przedstawione zostały na jednym z posiedzeń Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego (protokół z posiedzenia wydrukowano w „Pamiętniku TLW”, t. LXXX, 1884), jak

również na łamach „Wszechświata” (nr 23 z 1884 r.). Szerszą publiczność powiadomił o nich Bolesław Horodyński, mieszkaniec Warszawy, który podczas kilkunastoletniego pobytu w Ameryce Północnej miał okazję stykać się z Omahami, a w 1884 r. był jedynym człowiekiem potrafiącym dostarczyć czytelnikom prasy garść konkretnych, choć nie zawsze ścisłych informacji o egzotycznych cyrkowcach. Dwa jego artykuły ogłoszone w „Kurierze Warszawskim” i „Wędrowcu” (oba uwzględnione w naszym wyborze materiałów prasowych) wprowadzały przede wszystkim jasność co do etnicznej przynależności goszczących w Warszawie Indian, w kampanii reklamowej określanych nazwą Omaha-Sioux, przez dziennikarzy zaś chętnie identyfikowanych jako Siouxowie. W jakim jednak stopniu te okruchy rzetelnej wiedzy potrzebne były tłumnie odwiedzającym cyrk Cinisellego Warszawiakom i czy mogły ich zdystansować wobec wabiących stereotypów, to już zupełnie osobna sprawa.

## I

## KURIER WARSZAWSKI

1. R. 1884, nr 128, 9 maja (piątek), s. 3  
[Dział: Wiadomości bieżące]

## Także goście!

Podczas wczorajszego przedstawienia wieczornego w cyrku kilka łóż zajęły rodziny indjan, przybyłych tu celem dawania przedstawień.

„Dumne lwy pustyni”, „pioruny chmur” i „wspaniałe duchy niezwalczonych bohaterów” swojemi narodowemi strojami zwracały powszechną uwagę, a figle urządzone przez kłownów wywoływały wśród nich niezmierną wesołość, manifestującą się za pomocą piskliwych okrzyków.

2. R. 1884, nr 129 a, 10 maja (sobota), s. 2–3  
[Dział: Wiadomości bieżące]

## Z cyrku

Wczoraj w arenie p. Cinisellego przedstawiło się grono rzadkich gości.

Jest to gromadka czerwonoskórych indjan z krwiożerczego i wymierającego dziś już plemienia Sioux, ze stanu Nebraska.

Stolicą ich ziemi położonej na zachód od rzeki Missouri [sic] jest Omaha.

Przybyli do nas goście, z których niejeden, dopóki żył swobodą stepów, sporo zapewne swym toporem rozplatał czaszek ludzkich, liczą w swym gronie mężczyzn, kobiety i dzieci.

Popisują się oni śpiewem i tańcem: śpiew to głuchy, czasem tylko wrzaskliwym wydobywający się tonem.

Taniec polega na monotonnym skakaniu w około obozowiska przy odgłosie potężnego bębna.

Zwraca na siebie uwagę poważny naczelnik rodu, znany i głośny w ojczyźnie swej pod imieniem Mun-thu-no-ba.

Są w czerwonoskórców gronie także dwie wcale stosunkowo ładne dziewczęta, tańczące z powagą i stylem *sui generis*.

W ogóle Indianie ci, nigdy dotąd w Europie nie widziani, stanowią ciekawą dla nas fenomen etnograficzny. Ciało ich jest koloru kawowego, pokostowane z lekka na czerwono i fantastyczną ornamentyką przyozdobione.

Stroje przedstawiają także niemałą różnorodność.

3. R. 1884, nr 129 b, 10 maja (sobota), s. 2–3

### Indianie w Warszawie

Kto patrzył wczoraj w arenie p. Cinisellego na te jowialnie uśmiechnięte, dobrodusznie głupe fizjonomie czerwonoskórców z nad Missuri [sic], temu zapewne na myśl nie przyszło, iż owe wiotkie, smukłe a cienkie figury, obwieszane dziecinnymi ozdobami, skaczące w takt bębna na podobieństwo trepaka i kołomyjki – to najdzikszy, najkrwawszy element ludzki na świecie, to nieokiełznany żywioł pustyni, dybiący na życie człowieka innej rasy, jak lampart lub hjena...

Grono przybyszów amerykańskich składa się, jak wspomnieliśmy już rano, z 20-tu osób, mężczyzn, kobiet i dzieci.

Ojczyzną tych nieposzlakowanych czerwonoskórców jest Nebraska w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. Z potężnego niegdyś i dla sąsiadów groźnego szczepu zostało zaledwie 1.200 głów dzisiaj. Ich wiecznie krwią zbrczone topory, włócznie i strzały rdzewieją teraz, a z naczelnikiem ich Mun-thu-no-ba (Yellow Smoke) zaginie zapewne ostatni ich nieznany skalpownik (zdzieracz skór z czaszki).

Nadzwyczaj zajmujący przedstawia się widok, gdy te miedziane dzieci stepów amerykańskich, śmiejąc się i gwarząc wesoło, zasiądą wkoło rodzinnego bębna na rozścielonych derkach i poczną pogardliwie-pobłażliwym spojrzeniem wodzić po amfiteatrze...

Przedstawicielki płci pięknej gładzą swe krucze włosy i poprawiają sznury szklanych pereł... Mężczyźni porządkują pióra, zdobiące im głowę i spoglądają tęsknie na bęben, jedyny ich instrument muzyczny. Niebawem silny, barczysty dobosz chwyta za pałkę i uderza w ów bęben, naprzód *pianissimo*, a potem w prawdziwie indyjskim *forte*.

Głosom wydobywającym się z bębna towarzyszy wycie, jak u dzikich zwierząt, któremu wtórują liczne okrzyki wesołości pojedynczych tancerzy i tancerek...

Jeden młody Sioux podnosi się za drugim z siedzenia i pokazuje swoją podobną do Hunów postać, brzydką lecz charakterystyczną.

Młodszy, rozpoczynając korowód, pochyla się cokolwiek naprzód, dzwonią brzękadłami i wykrzykują piskliwie; za nimi dążą starsi, wywijając na wszystkie strony zamasyżę maczugą, a w końcu pojawiają się kobiety.

Dziwny to objaw, że mężczyźni indyjscy w czasie płaśów śmieją się i bawią, podczas gdy dziewczęta smutnie i poważnie prowadzą jednostajny swój taniec.

Kobiety indyjskie skazane są do wszelkich ciężkich robót, odgrywają przeto w życiu smutną rolę; wnosić można, że dlatego nie weselą się wspólnie z mężczyznami. Mają one łagodny i przyjemny wyraz twarzy, zasadnicze rysy oblicza zbliżone są do naszych. Natomiast brak im bujniejszego rozwinięcia niektórych części ciała, które stanowią powab niewieściego kształtu u rasy kaukaskiej...

Po jakimś czasie uderza dobośz po raz ostatni w bęben, taniec się kończy, aby niezadługo rozpocząć się *da capo*.

Naczelnik plemienia Yellow-smoke jest niezaprzeczalnie najwybitniejszą jego postacią...

Jakkolwiek pamiętniki jego niejednym skrwawionym włosem z głowy białych są przeplatane, a maczuga jego więcej czaszek niż drzew strzaskała, zdziałał on przecież w ojczyźnie swej podobno wiele dobrego.

Znany jest do dzisiaj w Waszyngtonie pod nazwą „Wielkiego ojca”, zachęcał podobno poddanych swoich do uprawy ryżu, a odwoził od mordów i rabunków, wskutek czego odwlokł na czas jeszcze jakiś zagładę ostateczną swojego szczepu...

[sygnowane znakiem \* \* \*]

4. R. 1884, nr. 130, 11 maja (niedziela), s. 4  
[Dział: Wiadomości bieżące]

#### Indjanie za kulisami...

Synów puszczy ulokowano w gmachu cyrku w wielkiej sali baletowej.

Śpią oni smacznie na gołej podłodze i oprócz kilku kufrów angielskich nie wożą żadnych bagaży.

W kufrach mieszczą się zbiory osobliwości, które z sobą przywieźli.

Są tam siodła robione ze szkieletów jakichś zwierząt i kilka skalpów zdjętych z czaszek ludzkich, za dobrych dawnych czasów, które dla siouxów bezpowrotnie już przeminęły.

Życie zakulisowe indjan jest dosyć monotonne.

Mężczyźni cały boży dzień spędzają na grze w karty, przy której zachowują majestatyczną powagę.

Kobiety szyją, a dzieci z wielkiem upodobaniem bawią się pudełkami od sardynek...

Inną rozrywkę stanowi przyglądanie się z dziecinną ciekawością próbom ćwiczeń na arenie cyrkowej i rzucanie przez okna kawałkami tynku, wylamywanymi ze ścian do wróbli!

O godzinie 3-ej zaatlantycy „artyści” rozpoczynają tualetę na przedstawienia.

Do tualety używają zwykle jednej farby, rozcieranej w rękach, którą na ciele dłonią wyciskają misterne desenie.

Dzicy goście są bardzo grzeczni i uprzejmi...

Wódz ich poczęstowany paczką papierosów, wziął z nich tylko jeden, a resztę oddał, poczem żelazną ręką poprowadził nas do kufra, wy dostał zeń ognia i pierw nam podał a później dopiero sam zapalił.

Zresztą indjanie palą cygara a datków nie przyjmują.

Najstarszy wódz Choo-den-na-cee (Żółty dym) liczy lat 35 i jest już zgrzybiałym starcem, piękne zaś dziewice, jeżdżące po męsku konno, mają za ledwie po lat 13-ie.

Impresariem indjan jest opasły marsylińczyk, któremu towarzyszy w charakterze tłumacza jakiś metys i sprytny yankee, który wyprowadził siouxów z pustyni i nakłonił do objeżdżania świata.

5. R. 1884, nr 132 b, 13 maja (wtorek), s. 3

[Dział: Wiadomości bieżące]

#### Dawni znajomi

Indjanie pokazujący się w cyrku nie przestają być przedmiotem ciekawości po za [sic] areną cyrkową.

Jakże wielkie było ich zdumienie, kiedy zjawił się przed nimi p. H., mieszkaniec naszego miasta, i ... w narzeczu indyjskim powitał całą kolonję.

Mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci z radością, objawiającą się w dzikich skokach i okrzykach, odpowiadali panu H. wyrażając zdziwienie, że „blada twarz” włada ich mową.

Pan H. przez lat blisko 20 bawił w Ameryce, głównie zaś jako farmer w stanie Nebraska i należał do niejednej krwawej potyczki z plemieniem Omaha Sioux.

W zetknięciu się z nimi poznał ich mowę bardzo dobrze, nic więc dziwnego, że z przybyszami porozumiał się teraz doskonale.

Rozmowa prowadzona była o wielu słynnych wojownikach plemienia, których nazwiska panu H. utkwily w pamięci.

Okazało się, iż od lat siedmiu, to jest od czasu jak p. H. powrócił do kraju, ani jeden z tych rycerzy i skalpowników indyjskich nie żyje...

Obyczajem swoim indjanie zaraz nadali miano panu H., który odtąd nazywa się dla nich „bladą twarzą niebieskiej mądrości”.

Kiedy p. H. wychodził, indjanie usilnie prosili, aby ich raz jeszcze odwiedził, skarżą się bowiem na zupełne osamotnienie i nudę hotelową, przeżywaną rzadkimi wycieczkami na wozach.

6. R. 1884, nr 133 a, 14 maja (środa), s. 3  
[Dział: Wiadomości bieżące]

#### Indyjskie potrawy

Przebywający w Warszawie członkowie sławnego czerwono-skórego plemienia Sioux, nie pozerają żywych kur, kotów i królików, jak to zwykle czynią podrabiani jarmarczni indjanie.

Żyją oni owszem bardzo skromnie.

Mięso wołowe pocięte w plastry i pokrojone w kostki, chleb również w kostki pokrojony i ceber wody – oto obiad synów puszczy.

W dodatku czarna kawa, w której bardzo zasmakowali indjanie, zresztą nic więcej...

Wódkę wprowadzie namiętnie lubią, lecz tu w Europie jest im wzbronioną, gdyż zanadto rozpala ich fantazję i czyni ich niebezpiecznymi awanturnikami...

Zresztą indjanie zachowują się nader przyzwoicie, są uważni i usposobienia wielce przyjacielskiego.

7. R. 1884, nr 133 b, 14 maja (środa), s. 4  
[Dział: Wiadomości bieżące]

#### Niezwykła hojność

Indjanie, produkujący się obecnie w cyrku, z nadzwyczajnym zamiłowaniem przyglądają się produkcjom podwórzowych pajaców, którzy w wielkiej liczbie schodzą się pod okna sali zajmowanej przez „sioux'ów”, zwabieni wieścią o hojności tych ostatnich.

I rzeczywiście indjanie wzamian za sztuki łamane wyrzucają oknem srebrne monety, a głośnym wyciem zachęcają do powtarzania łamańców.

Wczoraj około godziny 5-ej wieczorem, piszący te słowa był świadkiem, jak naczelnik rodziny rzucił pajacom około dziesięciu sztuk pruskich talarów, których miał w torbie sporą liczbę.

Policja rozprasza trupy gimnastyków, co jednak wywołuje niezadowolenie wśród na pół dzikiej rzeszy...

8. R. 1884, nr 134 b, 15 maja (czwartek), s. 3

### Omahowie

Z powodu pobytu w Warszawie i występów w cyrku Cinisellego indjan ze szczepu Omaha, pragnę podać o nich kilka szczegółów, na podstawie wiadomości po części zebranych podczas swojego pobytu w Ameryce, a po części obecnie z ust ich samych zaczerpniętych...

Indjanie bawiący w naszym mieście pochodzą z Ameryki północnej ze stanu Nebraska. Stan ten w ostatnich 25-iu latach uległ olbrzymim zmianom. Cywilizacja podarła uroczy kobierzec, jakim tę ziemię okryła przyroda, postęp z maszynami parowymi poniszczył malownicze „wigwamy” (chaty) indyjskie, rozgonił stada spokojnie pasących się bawołów, aby w zamian pobudować miasta, przeciągnąć wzdłuż i wpoprzek kraju liczne linie kolei żelaznych, a zmieniając warunki życia, szerząc dobrobyt i oświatę, zmusił czerwonoskórych indjan do tworzenia osad rolnych i zaniechania wycieczek w głąb kraju i polowań, które były jedyną ich ulubioną rozrywką, szczególnie w porze letniej.

Dziś w stanie Nebraska mieszka kilka plemion indyjskich, należących do szczepu Omaha, od których nazwę wzięło miasto, będące dawniej stolicą tego terytorjum. Zajmują oni w północno-wschodniej części stanu, w bliskości miasta Black-Bird, przestrzeń wynoszącą około 256 mil kwadr. angielsk. (około 32 mil kwadr. geograficznych).

Oprócz zwierzchności ustanowionej przez rząd Stanów Zjednoczonych, każdą plemię szczepu Omaha posiada swojego wodza, od którego bierze nazwę. Jeden z takich wodzów Indenoży (Żółty dym) znajduje się w gronie okazującym się obecnie w Warszawie. Nazwiska innych wodzów, jak mi je podali czerwonoskórzy goście są: Sinde-ghan-ghan (Świecący ogon), Kahe-ramba (Dwa pazury), Szangas-ska (Biały koń), Szużyngha (Kuropatwa), Dubomone (Przodownik), Gedegachy (Przedni wódz), Mą-egahy (Człowiek wódz), Ibahamby (Znawca). Imiona te podaję tutaj w pisowni polskiej, wyglądają zatem trochę inaczej, jak podawane zwykle pisownią angielską.

„Żółty dym” objeżdża Europę na czele szczątków swojego plemienia, a pod przewodnictwem Johna Pirchela, mieszańca, urodzonego w okolicy położonej między Plattsmouth'em a Omahą z ojca indjanina a matki białej; otrzymał on wychowanie w mieście Belle-Vue i pomimo mieszanej krwi oraz pewnego wykształcenia jest indjaninem duszą i ciałem.

Omahowie od lat 40-tu wyznają religię presbiteriańską i dziś już nie czczą swojego Alomąsziatta tańcami, lecz wraz z białymi uczęszczają na niedzielne nabożeństwa.

Na afiszach nazwano ich Omaha-Sioux'ami, omahowie jednak i sioux'y nie są jednym Szczepem.

„Kilka pokoleń wstecz – opowiada „Żółty dym” – żyliśmy w sąsiedztwie sioux’ów w górnych okolicach rzeki Missouri. Bylibyśmy i dziś z nimi w przyjaźni, gdyby nie „skwou” (kobieta), która z naszego obozu uciekła z kochankiem z ich plemienia... Dało to powód do krwawej walki, wskutek której sioux’owie musieli się przenieść w odległe strony i dziś zamieszkują na terytorjum Dakota. Zamiast sioux’ów mamy teraz dobrych sąsiadów w indjanach Winabego, którzy w r. 1864-ym podnieśli bunt i zostali na północ wyparci, w rok jednak później, trapieni głodem, wrócili w nasze strony, kupili od nas część ziemi i żyją pod dowództwem „Szarego wilka”.

I u indjan zatem w zatargach i niesnaskach potrzeba chercher la femme.

Znając nieco z pobytu w stanie Nebraska język indyjski, przy pomocy angielskiego, którym włada John Pirchel, z łatwością mogłem się porozumieć z Omahami, którzy uszczęśliwieni spotkaniem człowieka, znającego trochę ich mowę nazwali mnie za to Mą-he-verygnantan (Mądrość niebieska), co dokładnie maluje, jak wysokie mają wyobrażenie o swoim języku.

A bywają narody, u których „mądrość” zaczyna się dopiero od umiejętności języków... obcych.

B. Horodyński

9. R. 1884, nr 137, 18 maja (niedziela), s. 2

[Dział: Kroniki tygodniowe; fragment felietonu]

Dla ścisłej charakterystyki tygodnia trzeba dodać, że mieliśmy tu prawdziwych Indian i Indianki. Jedni i drudzy mają ciała koloru miedzianego i dość niezwykle pojęcie o przyzwoitości; sądzą bowiem, że człowiek nagi może bez skandalu pokazywać się nawet w towarzystwie płci nadobnej, byle – wymalował sobie na skórze kilka kresk farbą żółtą albo czerwoną.

Tak taniego garnituru nie było nawet u p. Sameta.

Nierównie mniej posiadamy szczegółów dotyczących pięknych Indianek.

Zdaje się, że panie te jeżdżą na koniu takim sposobem jak chłopaczki; jeden zaś ze sprawozdawców miał możność przekonać się, że „brakuje im bujniejszego rozwinięcia niektórych części ciała, które stanowią powab niewieścich kształtów u rasy kaukaskiej”.

Ponieważ posiadamy białą skórę, w ubiorze nie ograniczamy się na farbach i nie brak nam „bujniej rozwiniętych” itd., zdawałoby się więc, że w niczym nie jesteśmy podobni do Indian. Szczęściem, jeden z badaczy naszego życia miejskiego podpatrzył ich w hotelu i z wielką uciechą doniósł, że ludzie rasy miedzianej garściami wyrzucają przez okno srebrne talary podwórzowym grajkom i hecarzom, a zapewne kelnerom i kokotkom.

Kiedy sobie jednak przypomnę, za co hojni nasi rodacy zdobywali za granicą tytuły „grafów” i że dzięki im zyskaliśmy sławę narodu „wyrzucającego pieniądze za okno”, domyślam się, że pp. „Żółty Dym”, „Dwa Pazu-

ry”, „Kuropatwa” i „Świecący Ogon” mogliby u nas znaleźć wielu krewnych i powinowatych. Z czego wniesć można, że jak jedna jaskółka nie stanowi wiosny, tak barwa ciała i „brak bujniejszego rozwinięcia” itd. nie stanowią prawdziwego Indianina.

B. Prus

[przedruk w: B. Prus, *Kroniki*, Warszawa 1958, t. 7, s. 119–120]

10. R 1884, nr 139 a, 20 maja (wtorek), s. 2  
[Dział: Wiadomości bieżące]

### Odjazd indjan

Wczoraj po południu, pociągiem kolei terespolskiej opuścili nasze miasto goście z Nebraski.

Przed wyjazdem – może znowu z powodu jakiejś skwou – przyszło między omahami do wojny domowej, która skończyłaby się zapewne nowym rozdziałem na dwa plemienia, gdyby nie interwencja władzy i kontrakt przez wszystkich z jednym impresariem zawarty.

Omahowie, którzy u kupców tutejszych dobre pozostawili wspomnienie, nie mając bowiem zwyczaju oszczędzania grosza poczynili znaczne zakupy, udają się z Warszawy do Moskwy.

Ludek warszawski wyprawił im na odjeździe małą pożegnalną owację, gromadząc się tłumnie na dworcu dla ujrzenia czerwonoskórych wojażerów... bezpłatnie.

[sygnowane: y.]

## II

### KURIER PORANNY

1. R. 1884, nr 128, 9 maja (piątek), s. 3  
[Dział: Co słyhać nowego]

### Indianie w Warszawie.

W dzisiejszym [dniu?] w cyrku Cinisellego, ukażą się po raz pierwszy Indianie, w liczbie kilkunastu osób różnej płci i wieku.

Są to mieszkańcy ze stanu Nebraska Ameryki Północnej, z pokolenia Omaha-Sioux.

Czerwonoskórzy w swoich narodowych kostjumach produkować się będą z tańcami, śpiewem i sztukami akrobatycznymi.

3. R. 1884, nr 129, 10 maja (sobota), s. 2  
[Dział: Co słycać nowego]

### Z Cyrku.

Wczoraj w cyrku Cinisellego produkowali się po raz pierwszy Indianie ze szczepu Omaha-Sioux ze stanu Nebraska, przejeżdżający z Paryża do Petersburga.

Występ wczorajszy Indian był rzeczywiście ciekawym nader widowiskiem. Ukazanie się ich pozostawionem zostało prawie na sam koniec przedstawienia.

Zrazu kilku mężczyzn i parę kobiet przejechało konno przez arenę z dzidami w rękach, wydając dzikie okrzyki wojenne, następnie zaś wyszli wszyscy pieszo, z wyjątkiem jednego mężczyzny i jednej kobiety, którzy wyjechali konno.

Ogólna ich liczba wynosi 20 osób, a w tej liczbie kilka kobiet starszych i dwoje dzieci, jedno kilkuletnie, a drugie na rękach.

Mężczyźni i młode kobiety są zupełnie nędzy, z wyjątkiem opasek na biodrach, oraz licznych ozdób na głowach i rękach; kobiety zaś starsze ubrane są w spódnice i płachty, ubiorem swym przypominając cyganki.

Zarówno mężczyźni jak kobiety są tatuowani.

Po wejściu na arenę kobiety starsze porozkładały płachty na środku i pousiadały na takowych; mężczyźni zaś i młode kobiety rozpoczęły śpiewy i tańce, przy dźwiękach oryginalnej, prawdziwie indyjskiej muzyki wojskowej.

Taniec ich jest wysoce charakterystycznym.

Przypomina on sobą cokolwiek kozaka ze swej dzikiej melodji; z drugiej zaś strony bezceremonjalne, wyzywające ruchy kobiet przyprowadzają mimowoli na myśl kankana.

A może to wpływ Paryża, z kąd Indianie obecnie wędrują.

Z pomiędzy kobiet młodych, kilka wyróżnia się piękną budową ciała, a zwłaszcza też jedna, której atoli twarz jest statuowaną w ciemne paseczki do tego stopnia, że wygląda jakby była nakryta woalką.

Indianie ci dać mają w Warszawie jeszcze pięć przedstawień.

Reszta przedstawienia była wczoraj w cyrku także dosyć zajmująca [...]

3. tamże, s. 2  
[Dział: Co słycać nowego]

### Przejażdżka Indian po Warszawie.

Wczoraj między g. 6 a 7 Indianie bawiący w Warszawie przejeżdżali się po mieście.

Ekwipaż ich stanowił wóz podobny do omnibusów straży ogniowej.

Massy publiczności przyglądały się dzikim gościom wyrażając przytem różne uwagi, pełne nieraz charakterystyki.

Jedna jakaś jej mość zapewniała naprzykład, że indjanie to taki naród, co mieszka pod morzem... amerykańskim.

### III

#### KURIER CODZIENNY

1. R. 1884, nr 129, 10 maja (sobota), s. 4  
[Dział: Kronika dnia. Kurier miejski]

##### Indjanie w Warszawie

Wczorajsze przedstawienie w cyrku Cinisellego miało nieco charakter etnograficzny... na arenę cyrkową bowiem wystąpiło 20-tu czerwonoskórych z północnej Ameryki, a mianowicie ze stanu Nebraska.

Indjanie ci należą do jednego z bardzo licznych plemion, zwanego Sioux, które kultura amerykańska skazała na zagładę.

Ojczyzna plemienia Sioux leży wśród dzikich stepów, rozłożonych nad rzeką Missouri – za okolicą Omaha.

Garstka tego plemienia jest obecnie przedmiotem eksploatacji przedsiębiorców; składa się ona z mężczyzn, kobiet i dzieci, między którymi znajduje się jedno przy piersiach niemowlę.

Barwa ich ciała jest czerwono-kawowa, oblicze tatuowane we wzorzyste rysunki.

Polem popisu plemienia Sioux jest przeważnie śpiew – dziki, monotony, przechodzący we wrzask i wycie wichrów, oraz taniec. Instrumentem muzycznym – bęben i rodzaj piszczałki. Mężczyźni są na pół nadzy – kobiety w strojach przypominających nieco fantastyczne stroje cyganek.

2. R. 1884, nr 131, 12 maja (poniedziałek), s. 3  
[Dział: Kronika dnia. Kurier miejski]

##### Indjanie w Alejach Ujazdowskich.

Od trzech dni dzicy obywatele ze stanu Nebraska – używają codziennie wycieczek w Aleje Ujazdowskie. Naturalnie że czerwonoskórcy owi są przedmiotem tłumnych obserwacji gapiów i ich zbiegowiska.

Synowie z nad Missouri pogardliwie spoglądają na liczne rzesze białych... i majestatycznie przechadzając się prowadzą żywą rozmowę – w ojczystym języku.

3. R. 1884, nr 135, 16 maja (piątek), s. 4  
[Dział: Kronika dnia. Kurier miejski]

Podśluchane w cyrku.

Dwaj młodzi ludzie przypatrują się indyanom.  
– Powiedz mi, dlaczego oni mają takie kolorowe twarze? – Widzisz, oni są... skalpowani...  
Autentyczne.

4. R. 1884, nr 136, 17 maja (sobota), s. 3  
[Dział: Kronika dnia. Kurier miejski]

Indianie z Nebraska – w dniu jutrzejszym opuszczają Warszawę.  
Dochód dzienny pokolenia Omaha-Sioux wynosił w miasteczku naszym rs. 250. Ile zaś z tego otrzymają czerwonoskórcy, a ile przedsiębiorca nie wiadomo.

W każdym razie odjazd amerykańskich piękności zmartwił cyrkowców, z pomiędzy których jeden podobno rozgorzał afektem miłosnym do kruczo-włosej Nebraska.

5. R. 1884, nr 139, 20 maja (wtorek), s. 3  
[Dział: Kronika dnia. Kurier miejski]

Odjechali.

Wczoraj opuścili Warszawę drogą żelazną Warszawsko-Terespolską indyanie, produkujący się dotychczas w cyrku Cinisellego. Obecnie impressaryo wiezie ich do Moskwy. Gromada widzów towarzyszyła im na dworzec kolei.

6. tamże, s. 3–4  
[Dział: Kronika dnia. Kurier miejski]

Co to byli za Indianie.

Słyszeliśmy z pewnego źródła, bo od człowieka, który się z nimi przyjaźnił, że dzielni Indianie, którzy tak pięknie tańczyli w cyrku Cinisellego, są wprawdzie rzeczywistymi indyanami, ale mniej dzikimi niż by się zdawać mogło. Należą oni do rzędu kolonistów osiadłych na roli – umiejących dobrze po angielsku i nie pojmujących nawet sztuki skalpowania. W Nebra-

sce chodzą w paltotach i bluzach jak inni amerykańanie cywilizowani, i dopiero zaprzewawszy się przedsięwiorcy, przypomnieli sobie słyszane u dzikich kolegów tańce i śpiewy, przyrządzili kostyummy pierwotne – i wprawili się w sztukę malowania ochrą swojego ciała. Cywilizacya ich tak sięga daleko, że w wolnych chwilach tańczyli w Warszawie... kadryla jak zwykle paryskie kalikoty. Co figiel, to głowa, czyż nieprawda panowie? „Żółty dymie i wołowy ogonie”.

## IV

## GAZETA WARSZAWSKA

R. 1884, nr 110, 14 maja (środa), s. 1

[Dział: Wiadomości bieżące krajowe]

W cyrku Ciniselli, znajdującym się na Ordynackiem w Warszawie, od kilku dni magnesem przyciągającym publiczność żadną nadzwyczajności, są czerwonoskórzy Indianie z nad Missouri w Stanach Zjednoczonych. Plemię ich według afisza ma się podobno nazywać Omaha-Sioux, wódz naczelny wędrujący dziś po Europie ma imię Choo-den-na-cee czyli Żółty dym, a zmalała liczba jego poddanych ma nie przewyższać 1.200 głów płci obojej. Powtarzamy to wszystko z zastrzeżeniami, nie mając pewnych danych dla odróżnienia prawdy od humbugu przedsiębiorstwa.

## V

## GAZETA POLSKA

R. 1884, nr 107, 10 maja (sobota), s. 2

[Dział: Z miasta]

## Indianie w Warszawie.

Ciekawe postacie występują teraz w każącym sobie zbyt drogo płacić cyrku p. Ciniselli. Jest to gromadka Indian, prawdziwych czerwonoskórych z plemienia Sioux'ów, którego szczątki wygasają coraz bardziej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Przybysze ci ze stanu Nebraska popisują się w arenie cyrkowej śpiewem i tańcem. Śpiew ich głuchy, to wrzaskliwy, a taniec przedstawia się jako monotonne skakanie przy równie jednostajnym odgłosie bębna.

## VI

## TYGODNIK ILUSTROWANY

R. 1884, nr 74, 31 maja, s. 346

[Dział: Kronika tygodniowa; fragment felietonu]

Mieliśmy tydzień temu Indyan amerykańskich w cyrku, którym kochana Warszawka przyglądała się zawzięcie. Byli to najprawdziwsi Indyanie, z całym rynsztunkiem swego nieokrzesania, pogardliwi wobec wymogów przyzwoitości, obojętni na gawieź o bladych twarzach, ciekawą synów puszczy. Obecnie głoszą wieści, że obaczmy lada chwila najprawdziwszych murzynów, brudnych, cuchnących, dzikich, ale... autentycznych! Usłyszymy podobno ich muzykę narodową, wykonaną na skorupach tykw i bananów, z wrzaskiem afrykańskiego zapału i ognia. Co za konkurencja wobec Towarzystwa muzycznego, jak silna pokusa dla naszej muzykalności.

St. M. Rz. [Stanisław Marek Rzętkowski]

## VII

## WĘDROWIEC

R. 1884, nr 24, s. 186–287

## Historia pokolenia Omaha

Stany Zjednoczone północnej Ameryki, ten kraj od niedawna do ogólnej pracy cywilizacyjnej powołany, a tak w niej pospiesznie postępujący, jest widownią zaciętej, krwawej a wytrwałej walki, tejże cywilizacji z dziką przyrodą, walki bladych twarzy z czerwonoskóremi, w której ci ostatni już z góry na zatracenie skazani. Ogromne obszary stepów, zaludnione odwiecznymi swymi mieszkańcami, którzy żyjąc od czasów najdawniejszych, nie przedstawiali dotąd żadnego postępu, tak w pojęciach, w obyczajach jak i w sposobie życia, – obficie obdarzone darami przyrody, wabią ku sobie tłumy łaknących chleba i bogactw przybyszów, zwracając przy tem na siebie oczy rządu, jako na ziemię obiecaną, gdzie może się wylać nadmiar ludności stanów Wschodnich; to też pomimo odwagi i waleczności indyjskich plemion, pomimo ciężkich porażek, jakich doznawali biali w walkach, pomimo tysięcy pomordowanych i poskalpowanych pionierów cywilizacji, popalonych, zniszczonych i z ziemią zrównanych osad i wiosek, cywilizacja na swym, wszystko druzgoczącym rydwanie, postępuje coraz dalej i szybciej,

wnika w najodleglejsze stepów zakątki, i krok za krokiem, rok za rokiem wypiera, gładzi, lub wsiąka w siebie ostatki jedynych niegdyś władców i obywateli kraju, – i nie przejdzie stulecie, – a czerwonoskórzy Indianie staną się mytem, tak jak są dziś dawne pokolenia Inkasów.

Jako przyczynek do historii tej walki, przedstawiamy czytelnikom naszym, kilka dat i faktów, z okazji bawiących pomiędzy nami przed niedawnym, gości z amerykańskich stepów, biednych przedstawicieli ginącego ludu, – faktów opowiadanych nam przez tychże czerwonoskórzych.

Jako zabytek historyczny Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, pozostało kilka szczepów Indyjskich, z których najliczniejszymi są Czeriki, Pony i Omaha; ostatni odznacza się lojalnością i skłonnościami do przyjęcia cywilizacji. Niedalej jak w r. 1853 szczep Omaha bujał swobodnie po terytorium Nebraska, latem polując na bawoły, lub zajmując się łapaniem bobrów i rybołówstwem, zostawiając przy wigwamach starców, kobiety i dzieci, dla pilnowania pola obsadzonego kukurydzą, niezbędną dla utrzymania przez zimę dobytku, a zarazem służącą im, przy suszonym mięsie i rybach, za pokarm zimowy; – Omahowie zamieszkiwali okolicę nad rzeką Missouri [sic], tuż powyżej ujścia rzeki Platt, gdzie dziś znajdują się miasta Papilion i Belle-Vue, założone przez kupców francuskich, przedzierających się w tamte strony dla handlu skórami.

Loghan Fontenell, syn jednego z tych kupców, ożenionego z Indyanką, za swą odwagę i bystrość umysłu, został obrany głównym wodzem przez Omahów. Za jego to przywództwem w r. 1853, Stany Zjednoczone zawarły traktat z Indianami, mocą którego nabyto od nich terytorium na własność Stanów, zostawiając im część ziemi w okolicach strumienia Wood-Czeek [sic], osadę tę zwąc Black-Bird. Traktat był podpisany w Waszyngtonie przez głównego wodza Logana, w indyjskim narzeczu zwanego Songe-Ska (Biały koń) i wodzów: Gahige-Żynga (Mały wódz), Gre-Dananzy (Stojący jastrząb), Tannan Gahy Żynga (Założyciel wsi), Orekige (Huk), Intamasy, jako opiekuna nieletniego Aupautange (Wielki jeleni) i Sudenozy (Żółty dym). Powyżej wzmiankowani wodzowie byli delegowani przez swe plemiona jako najstarsi przedstawiciele dynastji; wówczas Louis Sans Souci był ich tłumaczem a Gatwood delegowanym ze strony Stanów Zjednoczonych. Wkrótce po zawarciu traktatu koloniści poczęli licznie napływać do nowonabytego terytorium, a równocześnie zawiązało się towarzystwo dla założenia miasta stołecznego (Capitol) któremu nadano miano Omaha. W rok później 1 czerwca 1854, Stany Zjednoczone kazały zrobić spis całego pokolenia Omaha, dla większej łatwości podzielenia pomiędzy nich summy przypadającej za nabyte grunta, i okazało się że liczba członków tego pokolenia dochodziła do 1,800. Po spisie zgromadzono ich do osady, gdzie wypłacono 41,000 dolarów za straty poniesione na opuszczonych przez nich polach, już zasadzonych kukurydzą. Nad strumieniem Wood-Czeek [sic] Indianie założyli miasto Decota; strumień ów otrzymał miano od nazwiska kowala Wood'a człowieka białego, lecz przez Indian wielce szanowanego, za

zręczność w robieniu dla nich narzędzi wojennych. Po osiedleniu Indyan Stany Zjednoczone przysłały im 16 par wołów roboczych, pewną ilość pługów żelaznych i ludzi do obznajomienia ich z użytkowaniem. Wkrótce czerwoni wojownicy szczepu Omaha, wyruszyli na zachodnie prowincje terytorium, w okolice Biber Czech [sic] na bawoły; tu zostali napadnięci przez nieprzyjazny szczep Sioux i ulegli przemocy, tracąc wielu wojowników. Wódz Logan, wielce strapiony klęską i stratą swych towarzyszy, zwyczajem pobitego wodza, oddalił się od obozu swego na trzy dni, lecz napadnięty przez nieprzyjaciół, choć walczył jak lew, uległ przemocy i zamordowany został 28 lipca. Ciało jego odszukano, przywieziono do Belle-Vue i pochowano obok jego ojca, zwyczajem Omahów w postawie siedzącej, składając w grobie pięć łokci głębokim wszystką broń jego. Na grobie przez cztery noce paliły się ognie, a jako oznaka smutku po wielkim wojowniku, towarzysze przy blasku tych płomieni, odprawiali tańce i śpiewy pogrzebowe. Omahowie byli zmuszeni staczać ciągle walki ze szczepem Sioux; nienawiść ta trwała kilka pokoleń wstecz, od czasu gdy Sioux'owie zezwolili na związek małżeński jednej z Omaha dziewcząt (Skwo) z młodym wodzem swego pokolenia. W r. 1871 wojska regularne Stanów Zjednoczonych, położyły nareszcie koniec tym ciągłym walkom i uspokoiły czerwonych wojowników. W r. 1883 nowy traktat został zawarty, którą to ugodę, za pośrednictwem półindyanina Johna Perchle, tłumacza rządowego, reszta kraju nabytą została. Traktującymi ze strony Indyan byli wodzowie Sinda-Ghanghan (Świecący ogon), Kaha Ramba (Dwa pazury), Sange-Ska (Biały koń), Szu-Zinga (Kuropatwa), Dubomony (Przewodnik), Pedy Gahy (Przedni wódz), Mę Gahy (Człowiek wódz), Ibe hamby (Znawca) i Sudenosy (Żółty dym). Z pomiędzy powyżej przytoczonych wodzów, ostatni, Sudenosy, wraz ze wzmiankowanym tłumaczem Johnem Perchle, w towarzystwie swych plemiennych z kobietami i dziećmi, na mocy kontraktu zawartego z impresario hr. Lagrange, wyruszył z Nebraska d. 28 września 1883 r. wylądował w Hawrze, i przez Paryż, Berlin i Warszawę udali się do Cesarstwa.

Podczas ich bytności w naszym mieście Dr. L. Dudrewicz dokonał na nich pomiarów antropologicznych, które stwierdzając inne badania, wykazały że czerwonoskórzy pokolenia Omaha, należą do typu *krótkogłowych* (Brachicephali), a nawet do mocno krótkogłowych, pokazując bardzo bliskie powinowactwo z pokoleniem mongolskim. Krótkogłowy typ Indyan Omaha wyraża się stosunkiem długości do szerokości czaszki, na wskazowniku czaszkowym tablicy antropologicznej Broca liczbami 83, 75, -78, 94, -85, 56, -86, 48 i u kobiety 84, 21. Wszyscy Omahowie są *prostoszczękowi* (Orthognati), to jest szczęka dolna nie jest do przodu wysuniętą, a zęby górne sieczne zachodzą na także szczęki dolnej, zupełnie tak samo, jak ma to miejsce u rasy białej. Bliskie podobieństwo pokolenia Omahów z plemieniem mongolskim, uderza nas na samo pierwsze wejrzenie na tych mieszkańców Ameryki, różnicę tylko widzimy w formie nosa, który u Omahów jest duży, o wysokim grzbiecie, gdy tymczasem u Mongołów zadarty i mały, mający

niskie siodło; u jednych jak i u drugich włosy na głowie są proste, twarde, w przecięciu poprzecznym okrągłe. Zarost brody u wszystkich rzadki, skąpy, – u jednych i u drugich kości licowe mocno wystają, oczy wąsko szczelinowe i nieco skośnie ustawione zdają się wskazywać na dziedziczne znamię mongolskich przodków. Z tego wszystkiego Dr. Dudrewicz wnosi że czerwonoskórzy, w czasie pierwotnej wędrówki ludów, musieli przybyć ze starego świata i że nie są autochtonami północnej Ameryki. Jednym słowem z badań tu dokonanych przez Dr. D. zdaje się, że pochodzenie tych pierwotnych ludów Ameryki północnej, jest azyatyckie.

Plemię Omaha wyznaje dziś wiarę chrześcijańską, i należy do sekty prezbteryjańskiej, której zasady misjonarze już od lat czterdziestu pomiędzy nimi krzewią. Nabożeństwo odprawiają w swym rodowitem narzeczu, a dla ciekawych usłyszenia brzmienia tej mowy, przytaczamy tu *Ojciec nasz* w naszej ortografii:

*„In dady allo monsiatta, nynke dyna dy hobe dy žinge rinke la erwala jage waly saga szubletle ego pahette manżana mawian littala wamuskele la antiga ininkangha hininke sziga anau ta leliuke the u dahe ego epahete. Eimen”.*

I tak wiara chrześcijańska została między nimi zaszczerpiona, przy niej cywilizacya coraz większe robi wśród ludu tego postępy, ale niestety, liczba pokolenia z dniem każdym maleje i niedaleką jest chwila w której resztki czerwonoskórców znikną na zawsze z powierzchni ziemi.

B. Horodyński



Wódz Pawnisów, Buffalo Bull, wg: Catlin 1844, vol. 2, tabl. 140